ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 6. Września 1902 r.

SPOTKANIE

(Dwa światy).

Prolog dramatyczny, napisany przez Macieja Szukiewicza na uroczyste przedstawienie w d. 8 września w teatrze krakowskim z powodu zjazdu techników polskich w dniu dwudziestopięciolecia istnienia towarzystwa technicznego.

OSOBY:

Febus	Faun
Nimfa	Inżynier
Hefajstos	Tłum robotników.

Skalisty, leśny parów — w głębi wysokie szczyty. Na skale siedzi zadumany Febus — nieco niżej Nimfa. Chwilę przygrywa na formindze.

FEBUS *(po chwili)*: Zaniechaj pieśni i lutni!
Pośród tej skalnej pustaci
Pieśń twa i głos twój się traci
A sercu z tem tylko smutniej.
Zaniechaj mówię.
NIMFA. O boski!
FEBUS. Niegdyś lubiłem cię szczerze.
Lubiłem wolny od troski
Wsłuchiwać się w twe pacierze
W twój szept z kamieniem nadbrzeżnym
W twój śpiew srebrzysty i mięki...
Nieraz z satyrem lubieżnym
Kwiatów rzucałem ci pęki,
Gdy z głębi twej w blask księżyca
Siostrzyce twe bez sukienki
Szły igrać z pianą i tęczą...
Lecz niegdyś a dziś — różnica!
NIMFA. Wciąż te wspomnienia cię dręczą.
Przeklęta pamięć dni szczęsnych!
FEBUS. Jeszcze mi czasem w pamięci
Woń ofiar tłustych i mięsnych,
Hekatomb woń się zakręci —
Lecz tyle, tylko już tyle
Zostało mi dziś z mej chwały,
Ołtarze me leżą w pyle,
Ze świątyń mych tylko gruzy,
A nawet siostry me Muzy
Te nawet mnie odleciały.
NIMFA. Wiem, nie mnie równać się z niemi.
Ni jedna kropla Kastalu
Nie płynie w mem czystem łonie
Lecz może piosnki mojemi
Umniejszę ci tego żalu
I będziesz myślał przez chwilę,
Żeś znowu w sióstr swoich gronie
I uśniesz słodko i mile
FEBUS. Spróbuj.

(Nimfa trąca w struny — po chwili słychać dziwny huk w skale sąsiedniej).

FEBUS. Czy słyszysz do kata?
Słyszysz te dziwne odgłosy?
NIMFA. Słyszę ję, słysząc, drżę cała.
FEBUS. Na empirejskie niebiosy!
Zgrzytnęło jakby łopata
Ostrzem o kamień trąciła.
To nie są Hefajsta młoty,
Nie tak Hefajsta grzmi siła!
Lecz cóż to takiego być może?
Któżby w bezludnej tej norze
Cyklopie wszczynał roboty?
NIMFA. Znam dobrze te okolice,
Każdą najmniejszą szczelinę,
Każdą wapienną świetlicę —
Gdzie blask nie wsiąknie ja wpłynę,
Gdzie głos nie wpadnie ja wpadnę,
Wszędzie a wszędzie się wkradnę,
Lecz nie dojrzałem nic zgoła,
Coby nas śmiało zatrwożyć.
FEBUS. Czy słyszysz?... zda się ktoś woła.



HENRYK SIEMIRADZKI.

NIMFA. Daj ucho do skały przyłożyć,
Może coś uchem wyłowię.
FEBUS *(powstrzymując ją)*. Lepsza mi przyszła
Faun leśny wszystko nam powie [myśl oto,

(woła w las)

Hej, kudłonogi niecnoto
Rusz się, sam tutaj do mnie!

(czeka chwilę daremnie)

Pewno po gąszczu uwija
Z eksbogów śmiejąc się w kułak —
Kto się zdechłego lwa zlęknie?
Kto dziś pokornie i skromnie
Przed bogiem strąconym klęknie?
Stwór leśny, licha bestyja
I ten mnie nawet omija.
NIMFA. Przybędzie, w lot tu przybędzie.

(zwrócona w las — pieszczotliwie)

Koziołku, capku brodaty
Gdzie jesteś? szukam cię wszędzie,
Zbrzydły mi mgiełki i kwiaty. —
Przyznaję, że byłam w błędzie.
Gdym spała dziś na dnie rzeczki,
Dziwne zbudziły mię wonie
Stęskniłam się twej raciczki
I ogień poczułam w łonie,
Koziołku, mój ty koziołku!

(z lasu wypada Faun — chwytając Nimfę)

FAUN. Pójdź lubko, pójdź pod paprocie
FEBUS. Hola ty krnąbrny pachołku,
Nie tobie ten smaczny kąsek.
NIMFA *(oganiając się)*. Pfe, odejdź! zbyt pa-
Umarłabym w twej pieszczocie [chniesz kozą
Szukaj bogdanki śród gąsek,
Dziś kiedy świat cały prozą,
Czas już być trzeźwym nareszcie.
FAUN. Pójdź lubko, na dnie ruczaju
Będziem się tarzać i pieścić.
FEBUS. Wara mi od niej gudłaju!
Cóż cię to znowu napadło?
Gdzie cześć należna niewieście?
Wszak świętem jest każde stadło.
FAUN. Racz boski krócej się streścić
Wżdyś był w języku rozwiozły
FEBUS. Lecz zawsze mniej niż wy — kozły!
Pójdź tutaj i przytul ucho
Czy nie wiesz, co tam za czorty
Stukają i kują tak głucho?
FAUN. Spytaj się twojej eskorty
Muz pytaj, panie promienny...
FEBUS. Pomówmy bratku rozsądnie.
I tobie spokój twój cenny —
A nuż w te strony zaglądnie
Śmiertelnych gdzie gromada czereda
I wygna nas gdzie pieprz rośnie?
Byłaby bieda!
FAUN. Oj bieda
Pomyśleć nawet nieznośnie!
FEBUS. Mądremu starczą dwa słowa.
Więc powiedz, jak myślisz trutniu
Co nam jutrzejszy dzień chowa?
Borem się włócząc dzień cały
Możeś co dojrzał pod liściem?
Wiesz może czy ten huk skały
Nie będzie nowych klęsk przyjściem.
FAUN. Zaiste sam czuję trwogę
Przed tym nieznośnym hałasem.
Lecz cóż powiedzieć wam mogę...
Łąkami brodzę i lasem
I w ziemi nie wglądam wnętrze,
Bo mi zaglądać nie wolno.
Lecz... możem mieć wieści prędsze,
Sztafetę pchnij w otchłań smolną,
Zawołaj tu Hefajstosa;
On jeden z dzieci Kroniosa
Utrzymał się przy swej władzy.
FEBUS. I żem też sam nie wpadł na to!

(dobywa strzałę z kołczanu, wbija ją w ziemię i woła)

Hefajście, boski kowalu!

(z pod ziemi ukazuje się kulawy Hefajstos)

FEBUS *(do Nimfy)*. A zawsze ten odór sadzy —
I z takim żyć Afrodycie!
HEFAJST. Br, zimno!
FEBUS. Zimno? toć lato!
HEFAJST. Mówcie, co sobie życzycie?
Wyręki nie mam z nikogo
I każda chwila mi drogą
FEBUS. Cóż robisz bracie Hefajście?
HEFAJST. Pilnuj wielkich min złota,
Wciąż ludzi grozi im najście
FEBUS. „Hefajście" „najście" — misternie.
Rym ten znalazłeś w falernie
Ja się znam na tem!
HEFAJST. Do rzeczy!
FEBUS. Posłuchaj — przybliż tu ucha.
Są-że to twoi cyklopi?
HEFAJST *(nasłuchując)*.
Bynajmniej — lecz trzeba zucha,
By kropić tak jak ten kropi.
Jaki ten stuk ich rytmiczny!
NIMFA. Promienny panie, on bluźni.
HEFAJST. Gdybym nie wiedział zaiste,
Żem czeladź zostawił w kuźni
— Niechaj mię tłuką siarczyste! —
Rzekłbym: ten tam zuch śliczny
Z mego terminu i szkoły.
FEBUS. Luby prognostyk!
FAUN. Wesoły!
HEFAJSTOS *(podnosząc młot i kując skałę)*.
Pomóżmy im, bo są warci
FEBUS, FAUN. Co czynisz?
HEFAJST. A tęgo dzieci!
A mocno, a raźno, a raźniej!
FEBUS. A toż go zapał gna czarci!

(chcąc go zagadać)

Cóż w domu słychać? cóż Ares?
A żonka gdzie? czy nie w łaźni
Karesem odpłaca kares? —
Zawziął się, gorzej pnia głuchy!
HEFAJSTOS. Patrzcie, wnet skałę przebije
Patrzcie ich —

(skała pęka ukazując ciemny otwór)

Brawo zuchy!

(głuche okrzyki w jamie)

Niech żyje, niech żyje, niech żyje!

(Febus i Faun przerażeni cofają się, Nimfa kryje się za nich. Z otworu w skale wysuwa się naprzód teodolit, za nim prawie na raczkach Inżynier. Faun porywa mu teodolit i zaczyna się jak małpa bawić — Hefajst podaje rękę i pomaga wygramolić się Inżynierowi).

(Dok. nast.)

BIAŁE NOCE.

Noc trzecia.

Dzisiejszy dzień był smutny i dżdżysty, bez słońca, zupełnie jak przyszła starość moja. Gniotą mnie takie dziwne myśli, takie ciemne wrażenia, takie niepojęte dla mnie pytania wciskają mi się do głowy — a niema jakoś ani siły ani chęci, by je rozwikłać. Ja je mam rozwikłać!?

Dzisiaj nie zobaczymy się. Wczoraj, gdyśmy się rozstawali, chmury zaczęły powłóczyć niebo, wstawała mgła. Powiedziałem, że się ma na niepogodę; dla niej dzień dzisiejszy słoneczny i jasny, ani chmurka nie przeciągnie po jej szczęściu.

— Jeżeli deszcz będzie padał, to się nie zobaczymy! — powiedziała — nie przyjdę...

Myślałem, że może nawet nie zauważyła dzisiejszego deszczu, tymczasem jednak nie przyszła.

Wczoraj spotkaliśmy się po raz trzeci, trzecia nasza noc biała...

Jednakowoż jakim pięknym robi człowieka radość i szczęście! Jak serce wre od miłości! Wydaje się, że chcesz całe swoje serce przelać w serce bliźniego, chcesz, by wszystko naokół było wesołe, by wszystko się śmiało. A jaka zaraźliwa jest ta radość! Wczoraj w słowach jej było tyle tkliwości, tyle dobroci serdecznej dla mnie... Jak dbała o mnie, jak pieściła, jak pocieszała, jak tuliła moje serce! A ile w tem było kokieteryi szczęścia! A ja... Przyjmowałem to wszystko za dobrą monetę, myślałem, że ona...

— I Boże mój! Jak mogłem nawet to przypuszczać? Jak mogłem tak oślepnąć, gdy wszystko już zabrał inny, gdy wszystko nie moje; gdy wreszcie, nawet ta tkliwość, ta pamięć, ta miłość... tak jest ta miłość dla mnie — wszystko to była tylko radość i nadzieja rychłego zobaczenia się z tym innym, chęć podzielenia się swem szczęściem ze mną... A gdy nie przychodził, gdyśmy napróżno nań czekali, zachmurzyła się, zlękła się i przestraszyła. Ruchy jej, słowa straciły na lekkości, swawoli i wesołości. I dziwna rzecz: podwoiła dbałość o mnie, jakby instynktownie pragnąc obdarzyć mnie tem, czego pragnęła dla siebie, o co drżała, by nie przepadło. Moja Nastienka tak wpadła w lęk i przestrach, że, zdaje się, odczuła moją miłość i współczuła jej biednej. Tak jest: silniej odczuwamy nieszczęścia innego, gdy sami jesteśmy nieszczęśliwi; uczucie skupia się, nie rozdrabnia...

Przyszedłem na swój czas z sercem przepełnionem, ledwom się doczekał jej. Nie przeczuwałem tego, co miałem później przechodzić wrażeniem, nie przeczuwałem, że tak się wszy-

Aż wreszcie serce moje wypełniło się ponad brzegi.

— Nastienka! — zawołałem — czy pani wie, co się ze mną działo przez cały dzień?

— No co, co? Niech mi pan opowie. Ale prędzej! Dlaczego pan milczał do tego czasu!

— Gdym wykonał wszystkie polecenia pani, oddałem list, byłem u dobrych ludzi pani, wróciłem do domu... wróciłem do domu i położyłem się spać.

— To się nie wiele z panem działo — przerwała mi ze śmiechem.



Z nad Morskiego Oka: Wikok ze ścieżki na Polski Grzebień, na Ganek, Wysoką, Rysy i t. d.

stko zakończy. Ona promieniała radością, czekała na odpowiedź. Odpowiedzią był on sam. Powinien tu przyjść, przylecieć na jej wezwanie. Zrazu śmiała się za każdem mojem słowem, zaśmiewała się. Zacząłem był mówić, umilkłem jednak.

— Wie pan z czego jestem zadowolona? — powiedziała — dlaczego tak radośnie na pana patrzę? Dlaczego pana tak kocham dziś?

— No? — zapytałem i serce poczęło mi się tłuc.

— Za to pana kocham, że się pan nie zakochał we mnie. Przecie inny na pańskiem miejscu zacząłby mnie niepokoić, nudzić, rozjęczałby się, rozbolešcił, a pan taki dobry!

Ścisnęła mi rękę tak, żem omal nie krzyknął. Roześmiała się.

— Boże! Jaki z pana druh! — rozpoczęła po chwili zupełnie poważnie. — Sam Pan Bóg zesłał mi pana! No bo cobym ja robiła, gdybym pana nie miała? Jaki pan bezinteresowny! Jak pan pięknie mnie kocha! Gdy wyjdę za mąż, to będziemy przyjaciółmi na zawsze, jak bracia. Będę pana kochała prawie tak samo, jak jego...

Zrobiło mi się jakoś straszliwie tęskno w tej chwili, a jednak coś przypominającego śmiech zaszemrało mi w duszy.

— Na panią nadchodzi strach — odezwałem się — boi się pani, że nie przyjdzie.

— Co też pan mówi! Gdybym w tej chwili nie była tak szczęśliwa, rozpłakałabym się nad pańskiem niedowiarstwem. Zresztą, podsunął mi pan myśl, podsunął mi pan zadumę; pomyślę jednak później, a teraz przyznam się panu, że w istocie ma pan słuszność. Tak jest, brak mi czegoś; cała jestem w oczekiwaniu i odczuwam zanadto jakoś łatwo. Dajmy zresztą spokój odczuwaniu...

Równocześnie posłyszeliśmy kroki czyjeś i z ciemności wynurzył się przechodzień idący ku nam wprost. Drgnęliśmy oboje, ona krzyknęła z cicha. Puściłem jej rękę i jak gdyby zabrałem się do odejścia. Omyliliśmy się jednak: to był kto inny.

— Czego się pan boi? Dlaczego pan rzucił moją rękę? — powiedziała, biorąc na nowo moją dłoń. — Cóż? Razem go powitamy. Chcę, by widział, jak się kochamy.

— Jak się kochamy! — zawołałem.

„O Nastienka, Nastienka!", pomyślałem, „jak wiele tem słowem powiedziałaś. Są chwile, że od takiej miłości lodowacieje serce, a ciężar spada na duszę. Twoja ręka chłodna, a moja, gdyby ogień. Jakaś ty ślepa, dziewczyno! O jak czasami nieznośny jest człowiek szczęśliwy! Nie mogłem się jednak rozgniewać na ciebie!..."

— Tak jest prawie, że nie wiele więcej — odpowiedziałem z wewnętrzną walką, bo do oczu cisnęły mi się już głupie łzy. — Obudziłem się na godzinę przed naszą schadzką, ale prawie, że nie spałem. Nie wiem, co się ze mną działo. Przyszedłem tu z zamiarem powiedzenia tego pani; czas zatrzymał się dla mnie, jak gdyby jedno wrażenie, jedno uczucie z tego czasu miało zostać we mnie na wieki, jak gdyby jedna minuta miała rozciągnąć się we wieczność, jak gdyby całe życie zatrzymało się dla mnie... Gdym się ocknął, wydało mi się, że przypomniałem jakiś motyw muzyczny, dawno mi znany, gdzieś przedtem zasłyszany, słodki, a zapomniany. Zdawało mi się, że przez całe życie wyrywał mi się z duszy, lecz dopiero teraz...

— Ach, Boże mój! Boże mój! — przerwała — jakże to być może? Nic nie rozumiem.

— Ach Nastienka! Chciałem jakoś oddać pani to dziwne wrażenie... — zacząłem żałośliwie, z ukrytą ale bardzo zamgloną nadzieją.

— Dość już, dość. Niech pan przestanie! — zagadała; odrazu zrozumiała wszystko zwodnica. Naraz stała się jakoś nadzwyczaj gadatliwą, wesołą, rozbawioną. Wzięła mnie za rękę, śmiała się, kazała mi się także śmiać, a każde moje szare słowo odbijało się o nią takim dźwięcznym, takim przewlekłym śmiechem... Zacząłem się irytować, wtedy ona zabrała się do kokietowania mnie.

— A jednak mnie to trochę złości — zaczęła — żeś się pan nie zakochał. A jednak, jegomościu nieugięty, nie możesz mnie nie pochwalić za szczerość i prostotę. Mówię panu wszystko, wszystko, każde głupstwo, które mi przez głowę przeleci.

— Przepraszam. Jedenasta, zdaje się, — powiedziałem, gdy miarowy dźwięk zegara rozdzwonił się na dalekiej wieży miejskiej. Naraz przerwała i zaczęła liczyć.

— Tak jest, jedenasta powiedziała wreszcie lękliwym, niepewnym głosem.

W tej chwili zacząłem żałować, żem ją przestraszył — i przekląłem swoją złośliwość. Naszła na mnie skrucha i nie wiedziałem, jak odpokutować grzech. Zacząłem ją pocieszać, wyszukiwać przyczyny jego nieobecności, podsuwać wszystkie możliwe dowody, przekonywać ją. Nikogo nie byłoby tak łatwo oszukać, jak ją w tej chwili; każdy zresztą w takim wypadku z chęcią słucha najbłahszej pociechy, szczęśliwy, że jest przecie choć cień obrony, uniewinnienia.

— Chociaż... doprawdy jacyśmy zabawni, — zacząłem, rozpływając się w przenikliwości swoich argumentów; — wszak żadną miarą nie mógł dzisiaj przyjść; tak mnie pani obałamuciła, żem

stracił rachubę czasu... Proszę się tylko zastanowić; zaledwie mógł otrzymać list; dalej: przypuśćmy, nie mógł przyjść — zawiadomił o tem listownie, list przyjdzie dopiero jutro, nie wcześniej. Jutro rano pójdę skoro świt do tych dobrych ludzi i w tej chwili daję pani znać. A nuż, naprzykład, nie było go wtedy w domu, gdy list przyszedł, i do tej chwili nie miał go jeszcze w ręku? Tysiąc ewentualności należy przypuścić.

— Prawda, prawda! — odpowiedziała Nastienka — wszystko się może zdarzyć, nie pomyślałam o tem — mówiła z jakimś pośpiechem, a w głosie jej, jak dyssonans, odbijała się jakaś ukryta, daleka myśl. — Więc tak, — mówiła dalej — niech pan idzie jutro, jak najwcześniej i jeżeli pan dostanie cokolwiek, proszę mi dać znać zaraz. Adres mój pan pamięta? — Powtórzyła mi go jeszcze raz.

A potem zrobiła się znów taka tkliwa, taka cicha... To, com mówił do niej, słuchała, zdawało się, z uwagą; gdym jednak zapytał ją o coś, nie odpowiedziała nic, zmięszała sie i odwróciła odemnie główkę. Spojrzałem jej w oczy — tak jest: płakała.

— No i czy to się godzi... czy to się godzi? Jakie dziecko z pani! No wszakże...

Spróbowała uśmiechnąć się, usta drżały jednak, jeszcze falowała pierś.

— Myślę o panu — odezwała się po chwilowem milczeniu — pan taki przecie dobry: kamieniem musiałabym być, gdybym tego nie czuła. Wie pan co mi przyszło na myśl? Porównywałam was obu. Dlaczego on nie jest panem? Dlaczego on nie taki, jak pan? Gorszy jest od pana, choć go więcej kocham.

Nic na to nie odpowiedziałem. A ona, zdaje się, czekała odpowiedzi.

— Być może, naturalnie, że nie zupełnie go jeszcze rozumiem, nie zupełnie znam. Wie pan; jak gdyby się go boję — zawsze taki poważny, jakby dumny. Naturalnie wiem, że to tylko pozór, że w jego sercu więcej miękkości, aniżeli w mojem. Pamiętam jego spojrzenie w tej chwili, kiedy, pamięta pan, przyszłam do niego z tobołkiem; a mimo to, jakoś zanadto go uważam, jakoś należy mu się to odemnie.

— Nie, Nastienka: to znaczy, że go pani kocha nad wszystko, nad siebie.

— Tak jest, przypuśćmy, że w istocie — odpowiedziała naiwnie Nastienka — ale wie pan, co mi przyszło do głowy. Tylko teraz nie będę mówiła o nim, a tak wogóle; dawno się już nad tem zastanawiałam. Niech mi pan powie, dlaczego my wszyscy nie jesteśmy ze sobą, jak brat z bratem? Dlaczego najlepszy człowiek zawsze jakby coś tai przed nim i przemilcza? Dlaczego zaraz wprost nie powie, co ma na sercu; przecie nie do wiatru mówi, tylko do człowieka? Każdy wygląda tak, jakby był surowszy, niż jest w rzeczywistości, jak gdyby znieważył swoje uczucia, gdy się z niemi wyda.

— Ach, Nastienka! Prawda to jest, prawda; ale to przecie wynika z wielu przyczyn — przerwałem jej, sam w tej chwili bardziej od kogokolwiek duszący swoje uczucia.

— Nie, nie! — odpowiedziała z głębokiem przekonaniem. — Pan naprzykład nie jest taki, jak inni! Naprawdę, nie wiem, jak to powiedzić, co czuję... ale zdaje mi się, że pan poświęca coś dla mnie — dodała, nieśmiało spoglądając. — Niech mi pan przebaczy, że tak do pana mówię: ale jam prosta dziewczyna, świata nie znam jeszcze i naprawdę czasem nie umiem mówić — dodała głosem drżącym od jakiegoś przytajonego uczucia, a starając się równocześnie o uśmiech — ale chciałabym tak panu powiedzieć, żem wdzięczna, że tak czuję... Niech Pan Bóg panu da za to... tyle szczęścia!... To, co mi pan opowiadał wtedy o tym marzycielu, to nie prawda, to jest, chcę powiedzieć, że pana zupełnie się nie dotyczy. Pan wyzdrowieje, pan, naprawdę, jest inny człowiek, aniżeli się pan opisał. Jeżeli pan kiedy pokocha, to niech Pan Bóg da panu z nią szczęście! Jej niczego nie życzę, bo ona będzie szczęśliwa z panem. Ja wiem, sama jestem kobietą, więc powinien mi pan wierzyć, gdy tak mówię.

Umilkła i silnie ścisnęła moją rękę. Ja także nie mogłem nic mówić ze wzruszenia. Przeszło chwil kilka.

— Tak jest, najwidoczniej dzisiaj nie przyjdzie! — odezwała się wreszcie, podnosząc głowę.

— Przyjdzie jutro — powiedziałem twardo i jak można najbardziej przekonywująco.

— Tak jest — dodała rozruszana — sama widzę teraz, że może przyjść dopiero jutro. No więc do widzenia, do jutra. Jeżeli deszcz będzie padał, to może nie przyjdę. Ale pojutrze przyjdę, bezwarunkowo przyjdę: cokokolwiek się stanie; proszę tu być koniecznie, chcę się widzieć z panem, opowiem wszystko.

A potem, gdyśmy się już rozstawali, podała mi rękę i powiedziała, jasno patrząc na mnie:

— Przecież będziemy zawsze razem, nieprawda?

O! Nastienka, Nastienka! Gdybyś wiedziała, jakim ja teraz samotny!

Gdy wybiła dziewiąta, nie mogłem usiedzieć w domu, ubrałem się i poszedłem, nie zważając na słotę. Byłem tam, siedziałem na naszej ławeczce. Zaszedłem nawet w jej zaułek, ale zawstydziłem się i zawróciłem z przed ich domu, nie spojrzawszy nawet w okna. Wróciłem do domu w takiej melancholji, jakiej nigdy jeszcze nie odczuwałem. Taki mokry, nudny dzień! Gdyby było ładnie, chodziłbym tam całą noc...

Ale do jutra! Do jutra. Jutro wszystko mi opowie.

Ale listu jednakowoż dzisiaj nie było. Zresztą, to normalne, tak się powinno było stać. Są już razem oboje.

MOPS.

Wróżba.

Streszczenie z Ernesta Wildenbruch'a.

Nie pamiętam jak mu było na imię bośmy go wszyscy od pierwszego dnia, w którym został naszym kolegą, przezwali: „Mops".

Doskonale za to pamiętam jak wyglądał. Był mały, krępy, tłusty. Ubrany w zielony sukienny surducik, kamizelkę, która ciągle uciekała w górę i za krótkie spodenki. Dużą okrągłą głowę, którą zwykle przechylał trochę na przód, okrywała granatowa włóczkowa czapka.

Chłopcy wyglądający w ten sposób bywają zwykle celem żartów i prześladowań kolegów — i tylko wyjątkową siłą pięści, lub niezwykłemi zdolnościami, zmuszają tych młodych okrutników do zmiany frontu.

Tu jednak nie było tych dwóch warunków. Chłopiec należał do bardzo średnio rozwiniętych, tak fizycznie jak umysłowo.

W czasie nauki nie był on leniwym, ale zawsze jakiś zamyślony i milczący — poza klasą bojaźliwy, stroniący od kolegów i jak to w mowie studentów mówimy: „niezdara".

To się najbardziej uwidoczniało w nauce gimnastyki, na którą bardzo uważano.

Po pierwszej próbie został zaraz przydzielonym do najmłodszych i najsłabszych — a i tu był jeszcze prawie ostatnim.

Ogólny śmiech towarzyszył pierwszej jego próbie wspinania się po słupie.

Pracując rękami i nogami posunął się biedak parę stóp nad ziemię — poczem ciężko oddychając trzymał się tak uczepiony z całych sił, póki nie usłyszał niecierpliwego:

— „Złaźże już!" które było znakiem odwrotu i któremu towarzyszyło zwykle parę uderzeń po odwrotnej stronie istnienia, wystającej z pod zielonego surducika na kształt dobrze wypchanej poduszki.

— „Mamin syn", wołali na niego koledzy, widząc jak bardzo tęskni za domem, który po raz pierwszy był opuścił.

Taka tęsknota i nas często ogarniała, ale kryliśmy się z tem. Podług nas nie wypadało się do tego przyznawać.

Poza klasą siedział zawsze przy stoliku, ale nie pracował, tylko ciągle pisał listy do domu, do matki.

Potrzeba go było zmuszać, żeby szedł na poobiedni spacer do ogrodu.

W końcu zrobiono odkrycie. Mops przybył do pensjonatu po wakacjach, a na Boże Narodzenie miał jechać do domu.

Otóż odkryto, że sobie urządził kalendarz.

Nakreślił tyle pionowych kresek, ile dni dzieliło go jeszcze od świąt. Co wieczór przekreślał jedną.

— Od rana nosił się z myślą, że wieczorem ubędzie jedna kreska, a z nią jeden dzień. Kiedy to poszło w kurs między chłopców zaczęły się sypać pytania:

— „Mops, cóż tam z twoim kalendarzem?"

— „Mops, za ile dni będą święta?"

— „Mops, pan dyrektor mówił, że nie pojedziesz".

Za każdym razem, kiedy malec słyszał to ostatnie zdanie bladł strasznie, choć już wiedział, że to tylko żart. To jego przerażenie wprowadzało w doskonały humor całą klasę. Śmiano się z tego głupiego Mopsa, którego było tak łatwo brać na kawał.

Nastał listopad, nastały mrozy.

— Gimnastykowano się wtedy już nie na dworze, ale w sali. Plac gimnastyczny stał pusty.

Pewnego popołudnia gromadka uczni spostrzegła Mopsa chodzącego z rękami w kieszeniach po placu gimnastycznym. Stały tam jeszcze: drąg poziomy, poręczki, podskocznia, krążnik, drabiny.

Chłopcy i ja między nimi przypatrywali mu się, stojąc za niskim murem dzielącym plac od ogrodu.

— „Mops będzie się gimnastykował", szeptali, pragnąc, żeby ich nie słyszał.

Mops widocznie coś rozważał. Jego tłusta twarzyczka pochylała się jeszcze bardziej niż zwykle, przyczem wzrok jego zwracał się w kierunku, gdzie w środku placu stał drąg poziomy.

W końcu, jak gdyby zdecydowany zwrócił się do drąga i stanął na nim, ale tak niezręcznie, że prawie w tej samej chwili zsunął się na przeciwną stronę.

Gromadka śledząca go z trudnością powstrzymała się od wybuchu śmiechu.

Co u licha napadło Mopsa? Postanowił widocznie probować czy mu się uda przejść po całym drągu aż do końca. Ale po co? Na co? Czy tak sobie dla zabicia czasu? Czy dla wprawy? Ale to nie było do niego podobne.

Naraz przyszła mu widocznie myśl, że w palcie nie dopnie celu.

Zeszedł więc z drąga po którym kroczył chwiejąc się... zdjął palto i przewiesił go na końcu tegoż.

Było mu widocznie zimno. Marznął — ręce miał sine, a palce czerwone.

Ostrożnie obejrzał się w koło czy go kto nie widzi — i nie spostrzegłszy nikogo, bośmy się szybko pochowali, złożył swoje małe ręce jakby do modlitwy.

Czyżby się modlił o to, żeby przejść przez cały drąg poziomy?

— „Czyżby o to?"

I tym razem za murem, gwałtowny napad śmiechu ledwie został przytłumiony.

Skończył się modlić.

Znów wszedł na drąg, i rozłożywszy szeroko ręce dla utrzymania równowagi, z twarzą jak gdyby szło o życie, rozpoczął swoją wędrówkę.

Z początku, kiedy jeszcze szedł po grubszej części drąga... szło jako tako. Ale chód jego zaczął być coraz mniej pewny kiedy się zbliżał do końca.

Byłby jednak może szczęśliwie doszedł do końca, gdyby nie złośliwość jego współkolegów. Nagle bowiem z poza muru ukazały się głowy z okrzykiem:

— „Mops! spadniesz! Mops zlecisz!"

Chłopiec się wystraszył. Mimo tego nie dał za wygranę — szedł dalej z zaciśniętemi zębami.

Naraz jednak, przeskoczywszy mur, cała banda wpadła do środka.

Jeden z nas chwycił oburącz za koniec drąga i zaczął nim trząść na prawo i lewo. Biedny Mops ledwie się jeszcze mógł utrzymać.

— „Nie, nie! zawołał błagalnym głosem — ale chłopiec trząsł dalej.

Za chwilę biedaczek zleciał z drąga.

Powstał, już niczem niehamowany śmiech, ale równocześnie z nim okrzyk pełen gniewu.



Z nad Morskiego Oka: Przejście przez Konia na Lodowym.

Mops, który zwykle każdemu się z drogi usuwał wpadł w tej chwili jak szalony na gbura, który go doprowadził do ostateczności i obu pięściami zaczął go okładać.

Rozumie się, że i ten nie został dłużnym — reszta stanęła po jego stronie, bo takie zachowanie się Mopsa było rzeczą niesłychaną.

Wkrótce potem biedny malec leżał na ziemi z łokciami opartemi na drągu i głową ukrytą w dłoniach, płacząc jak potępieniec.

Włóczkowa czapka spadła mu z głowy — i na tym mrozie leżał tak bez palta i bez czapki, jakby tego nie czując.

Starsi z pomiędzy chłopców zaczęli się naradzać i odpędziwszy natrętniejszych, którzy ciągle jeszcze stali nadrwiwując, zwrócili się do Mopsa pojednawczo. Lecz było to na próżno, stłumione szlochanie było jedyną odpowiedzią.

Gospodarzem klasy był tego dnia profesor Daniel, stary, otyły, niezmiernie dobry i uczynny człowiek.

Hałas, śmiechy i krzyki zwróciły jego uwagę, dochodziły bowiem aż do oddalonej części ogrodu, w której właśnie spacerował. Skierował się zatem w stronę placu gimnastycznego, spiesząc się o ile pozwalała na to jego tusza.

Bez długich indagacji stanął zaraz przy chłopcu, który leżał ciągle na ziemi oparty o drąg. Pogłaskał po rozczochranych włosach swoją grubą miękką ręką pytając:

— „Mopsiku? Cóż ci to zrobiono, cóż?“

Kiedy malec usłyszał przyjazny głos starego profesora, wyprostował się z wolna. Głowy jednak nie podniósł, lecz trzymał ją ciągle schyloną ku ziemi i twarz miał całą czerwoną od płaczu i łkał ciągle.

— „Włóżcie mu prędko jego palto“, rozkazał stary Daniel.

— „Czemuś go zdjął kiedy tak zimno?“ pytał znów chłopca, schylając się nad nim.

Mopsik milczał.

— „Chodził po drągu“, odpowiedziało za niego kilka głosów.

— „Nie pytam się was“, ciągnął dalej profesor.

— „Mopsiku, powiedz dziecko czemuś chodził po drągu? Cóż to nie chcesz mi odpowiadać?

Chciał widocznie mówić, ale nie zdołał.

Zdawało się jakby go jakiś nieokreślony wstyd powstrzymywał od tego.

Z kieszeni palta, które na niego włożono wyciągnął chusteczkę od nosa, obtarł nią łzy i twarz zamorusaną.

Stary profesor czekał cierpliwie. Miał poczciwe i rozumne serce — przeczuwał też, że wstydliwość zamykała mu usta.

— „Powiedz dziecko, powiedz. Mnie przecie możesz powiedzieć“.

Siadł na drągu — dziecko stało między jego kolanami, ręce w rękach profesora.

— „Moja... matka...“, zaczął chłopiec — w tem nowe łkanie przerwało mu mowę.

Szeroka dłoń starego poklepała go po plecach.

— „Moja matka... pisała..., że jest chora... i... i...“

Cały potok łez zalał jego twarzyczkę, i nagle zarzuciwszy ręce na szyję profesora przytulił się do niego szepcząc:

— „I... myśli..., że już nie wyzdrowieje“.

Cała gromada chłopców przysunęła się — zaległa cisza — przeszedł po nich dreszcz. — Stracić matkę, to rzecz okropna — czuli to wszyscy.

— „I ja... tu... przyszedłem... i pomyślałem..., że..., że jeżeli przejdę po całym drągu, aż do końca... jeżeli się nie zesunę... to... to... będzie znaczyło, że Bóg ocali mamę..., że będzie zdrowa“.

Stary przycisnął głowę dziecka do swej piersi.

— „I cóż, przeszedłeś do końca?“

Dziecko jękło.

— „Kiedym dochodził prawie do końca — oni tu przyszli... i zrzucili mnie“.

Profesor się wyprostował, a zazwyczaj łagodny jego wzrok przebiegł po nas ostry i gniewny.

Widocznie stropiony zwrócił się do chłopca powtarzając: „Biedne, biedne dziecko.“

Po chwili zaś, kiedy mały uspokoił się nieco, profesor wstał i objąwszy go ręką, tak przytulonego do siebie prowadził do domu. Obróciwszy się zaś do nas rzekł:

— „Wracać i uczyć się“.

Poszliśmy, zawstydzeni jak winowajcy.

Na drugi dzień opowiadano sobie w klasie, że w nocy, kiedy wszyscy spali, do sypialni wszedł profesor Daniel i stanąwszy nad łóżkiem Mopsika wpatrywał się w niego długo, poczem z ciężkiem westchnieniem odszedł.

W parę dni potem w czasie pauzy przyszedł do klasy profesor Daniel i głosem spokojnym, ale w którym znać było wielkie wzruszenie, zawołał:

— „Mopsiku, chodź no tu do mnie“.

Mały wstał z ławki, stary profesor wziął go za rękę. Wyszli — odtąd Mops już nie wrócił. Wyjechał do umierającej matki.

Aliquis.

Na starą nutę.

Bartoszu, Bartoszu!
Oj! jakież były żniwa?
Oj! jakież były żniwa?
Czy w stodołach pełno?
Czy wiatr po nich śpiewa?
Czy w stodołach pełno?
Czy wiatr po nich śpiewa?

Czy pszeniczka sypie?
Zaś żytko czy namłotne?
Zaś żytko czy namłotne?
Czyli paszy dosyć?
Sianko nie wilgotne?

Jakże tam ziemniaki?
Czy siła ich pod krzakiem?
Czy siła ich pod krzakiem?
Chłop, jak chleba skąpo,
Dołoży ziemniakiem?

Bóg zapłać, panocku!
Oj! latoś to niczego!
Oj! latoś to niczego!
Da Pan Jezus zdrowie,
Starczy do „nowego“!
Da Pan Jezus zdrowie,
Starczy do „nowego“!

Był ci kłopot z sprzętem,
No i cośkolwiek szkody,
No i cośkolwiek szkody...
Lecz chłop się nie zlęknie
Ognia ani wody!

Nie uroni z garści
Oj! co mu dały nieba!
Oj! co mu dały nieba!
Ni szmatka tej ziemi,
Ni świętego chleba!

El.

CO CZYTAĆ?

Karol Woerman. **Czego nas uczą dzieje sztuki?**

Książka ta, przetłomaczona przez Kasprowicza jest bardzo pożytecznym nabytkiem dla naszej literatury. Daje ona możność orjentowania się co do wartości dzieł sztuki w teraźniejszej chwili, którą nazwać można chwilą chaosu.

Wszelka miara w ocenianiu dzieł i arcydzieł zdaje się być obecnie zatraconą. Każdy artysta ma swoich zwolenników, jednemu podoba się Kasprowicz, innemu Orzeszkowa, trzeci nic nie chce czytać jak tylko Szekspeare'a, czwartemu wystarczają najlichsze tłomaczone romanse. Książka p. Woermana pokazuje, że można postawić pewne kryterja, ogólnie przyjęte przez ludzi kulturalnych, w celu odróżniania arcydzieł od dzieł podrzędnych, które się pod arcydzieła podszywają. Woerman bada w tem studjum jeden tylko rodzaj sztuki — malarstwo, chcąc w ten sposób nadać poglądom swoim większą jasność i ścisłość.

„Dzieje sztuki pokazują nam właśnie“, pisze Woerman, że istnieją powszechnie uznane, wieczną wartość mające, jednem słowem „klasyczne“ arcydzieła. Rzymianie stosowali wyraz „klasyczny“ (classicus) nasamprzód do rozmaitych klas swoich obywateli, później zaś mianem tem obdarzyli obywateli pierwszej klasy. Wyraz „klasyczny“ oznacza więc przedewszystkiem coś „pierwszorzędnego“, według dzisiejszego języka to, co ma wartość powszechną i trwałą. W tem też znaczeniu używają wyrazu tego wydawcy „klasyków“ w dziedzinie poezji i muzyki; w tem właściwem znaczeniu nieraz stosowano go też do dzieł rzeźby i malarstwa.

Cała książka Woermana poświęcona jest następnie szukaniu owej klasyczności poprzez malarstwo wszystkich wieków, w dziełach malarzy flamandzkich, włoskich i specjalnie niemieckich. Wnioski zaś ostateczne, do jakich dochodzi autor, formułuje tak:

Pozwólmy przed oczami duszy naszej przesunąć się owym, każdemu znawcy drogim, twórcom, a przekonamy się odrazu, że wszyscy zrośli się jak najściślej z duchem swego narodu, że najgłębszymi korzeniami tkwili w ziemi ojczystej, że więc mimo swej powagi międzynarodowej są twórcami narodowymi w całem tego słowa znaczeniu — że byli jednakże nie tylko synami, ale także przywódcami swych czasów, których zdobycze techniczne i pojęcia duchowe, jako śmiali nowatorowie zużytkowali i wyrazili w swych dziełach — i że przedewszystkiem tkwili silnie nie tylko w swoim narodzie i czasie swoim, ale także w samych sobie, że byli samodzielnymi twórcami z wyraźnem piętnem własnego życia duchowego. A gdy spojrzymy jeszcze głębiej w jasne oczy tych twórców, wówczas odkryjemy, że wszyscy oni umieli naturze, będącej alfą i omegą ich sztuki, spojrzeć nie tylko w oczy, ale, o ile możności i w duszę, że nie potrzebowali i nie znosili żadnego innego pośrednika pomiędzy sobą a naturą, prócz własnego, z własnego ich ducha wyrosłego sposobu pojmowania, — że jednako wszyscy patrzali na naturę wzrokiem prawdziwych artystów, to znaczy, innym, bądź jaśniejszym, bądź szerszym, bądź subtelniejszym, w każdym razie głębszym i przenikliwszym od wzroku zwykłych śmiertelników — że więc we wszystkich szczerych przejawach sztuki natura i siostrzana wyobraźnia podały sobie ręce do wieczystego związku.

Kto zdrowej pragnie sztuki, kończy dzieło swoje Woerman, ten młodym artystom, którzy nauczyli się z technicznem przedstawiać mistrzowstwem widzianą przez siebie naturę, wskazywać będzie na naród i czas, z którego ten lub ów twórca powstał i w którym żyje, a **przedewszystkiem na ich własną osobowość**, zaś w osobowości tej na najwyższe szczyty wyobraźni i na najgłębsze głębie najwewnętrzniejszego życia uczuciowego; bo cechy wieczyste tylko ta posiędzie sztuka, która wynikła z połączenia wyobraźni lub uczuciowości narodu, do którego twórca należy, z bezpośrednią i indywidualną obserwacją natury.

Przed świtem.

Zaczarowana chwilo przedświtowa,
pełna tajemnych półcieni i drżeń,
pełna przebłysków liliowych
i tchnień,
od wschodu falą idących leniwą,
czemu tak długą jesteś, taką wieczną!

— — — — — — — — — — —

Szaro na niebie i szaro na ziemi...
Jeszcze duch nocy na przestworzach dysze
potworną piersią osłaniając mrok,
Zmaga się z siłą ożywczą, słoneczną,
co kędyś zdala jako słodki wiew
od wschodu płynie,
igra z sitowiem, trawę łąk pochyla,
z pieszczotą muska gładką wody toń,
srebrzyste listki smutnych wierzb kołysze,
całuje cicho ustami sennemi
tę lilię białą, co wyrosła z wód
w wiosny godzinie...
Zaczarowana, nieskończona chwila!
Dusza wsłuchana w jej rozbrzmiałą ciszę
krzepi się, ściąga rozpierzchnione siły,
stęsknione oczy obraca na wschód,
czeka wzruszona na świtania cud...

— — — — — — — — — — —

W lesie śpi jeszcze rozpostarta w gąszczy
nieprzeniknionа tajemnica noc.
W jej ciemne łono słodki wiew nie wpada,
nie drży na listkach woniejących ziół,
na zróżowionej wardze jagód leśnych
swych rozmarzonych, sennych ust nie składa,
w rannym całunku...
Zaczarowana chwilo przedświtowa,
o jakże wieczną jesteś, o jak długą!...
Bór o przebytych dziwach szumiąc gada:
o przerażeniach nocy, o jej lękach,
o nagłych błyskach świętojańskich chrząszczy,
o ich miłości, co się ogniem żarzy
świecąc niebiesko-fioletową smugą
na ciemnem świerków tle...
I mówi jeszcze o puszczyka jękach,
o nietoperza skrzydeł łopotaniu,
o tych pisklętach zbudzonych z północy,
gdy matkę z gniazda paszcza straszna, krwawa
śpiącą porwała...
Szepce, że jakieś skowyty, chichoty
słyszały dęby w tej ponurej porze,
jakieś zmagania się nierównych sił,
i chrzęsty walki na życie i śmierć.
Szaro na niebie i szaro na ziemi...
A dusza tęskni i drżąca, wzruszona,
w tę mglistą szarość wyciąga ramiona,
wzrok wytężony obraca na wschód,
kędy świtania zajaśnieje cud...

Zofia Poznańska.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.